

Urodziłem się w 1923 r. w Łapach. Akurat skończyłem szkołę powszechną - jej kierownikiem był stary legionista Tracz, któremu udało się wpoić nam patriotyzm - gdy wybuchła wojna. 2 albo 3 września Łapy zostały zbombardowane przez lotnictwo niemieckie. Zniszczone zostało niemal całkowicie centrum. Bombardowane były również stacja PKP oraz ~~xxxxx~~ Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego. W kilka dni później Niemcy byli już w Łapach. Do miasta wjechało najpierw 7-miu konnych a za nimi ~~jeźdźców~~ na rowerach ze 40-tu rowerzystów. Mieli tu swoją siatkę szpiegowską złożoną ze zdrajców niemieckiego pochodzenia. Na kolei pracowali Millerzy, Linki i oni pokazywali Niemcom co jest wartościowe w zakładach czy w mieście. Niemcy ładowali to na ~~xxxxxx~~ ^{samochody} i wywozili. Szef tej siatki szpiegowskiej mieszkał w lesie koło Arzyżewa /9 km od Łap/ jako niby samotnik. Często widzieliśmy jak ~~z~~ Millerzy siedali na rowery w sobotę i jechali do Arzyżewa. Myśmy chodzili tam na grzyby, do tego ^{leś} lasu, to widzieliśmy.

Niemcy pobyli tu kilka dni i wycofali się z Łap zabierając ze sobą swych współpracowników - tych Millerów. Przez kilka dni było tu bezkrólewie. Rosjanie pojawili się ~~z~~ dopiero po ~~xxxx~~ trzech, chyba, dniach. Wjechali na tych swoich niskich ale wytrzymałych konikach. Na głowach mieli spiczaste czapki. "Kuda Germaniec!" - pytali się. Zaraz też pojawiła się żydowska milicja z czerwonymi opaskami na rękawach. Od sowietów dostali karabiny z tymi długimi sztykami. Pewnego dnia od strony Białegostoku weszła do miasta kolumna polskiego żołnierzy wziętych do niewoli. Szli chodnikiem. Koło dworca milicja żydowska

ustawiła się po obu stronach chodnika a stojący przed nimi enkawudzista wymachując naganem krzyknął do żołnierzy "Ruki w wierch" po czym kazał im opuścić ręce i pokazywać dłonie. Który tylko miał delikatniejsze ręce odstawiany był na bok. Potem załadowali ich do wagonów i wywieźli na wschód.

Jednocześnie zaczęły się aresztowania wśród bardziej znanych mieszczan. Aresztowano m.in. burmistrza Wesołowskiego - członka PPS, przewodniczącego Związku Zawodowego Kolejarzy - Mirka, również ~~xx~~ ^{ka} członkiem PPS, był moim sąsiadem, jego zięcia Konopkę i jeszcze trzech innych spośród znanych osobistości z Łap.

Gdy wracałem któregoś dnia z miasta do domu spotkałem Tracze, mojego kierownika szkoły. Prosił mnie, żebym dał znać jego żonie, że żyje, jest zdrow i że wyjeżdża stąd.

Było to chyba w październiku 1939 r. Spaliśmy już gdy ktoś zapukał w okno. Patrzymy a to Wojsko Polskie. 6-ciu ułanów w mundurach, w pełnym uzbrojeniu i na koniach. Ojciec wstał i pyta się: "O co się rozchodzi?". "Panie, nam trzeba przejść przez Narew w kierunku Strabli. Pojechałem więc z nimi. wzięli mnie na konia. Zaprowadziliem ich do drogi, ^{do Dembiny} która prowadziła do Suraża. Do Suraża było ztamtąd jakieś dwa kilometry. Sowieców już tu było mało to nocami mogli się przedrzeć. Powiedziałem im: Panowie, tam będzie most przez Narew. Przejdziecie ten most i pójdziecie prosto do Strabli. X pożegnałem się ~~z nimi~~ a na odchodne dostałem od nich dwie karabiny. Jakos przeniosłem je przez te cztery kilometry bezpiecznie. W domu, w chlewkach, mieliśmy pralnię. Zrobiłem skrzynkę, nawaze-

linowałem je dobrze, zapakowałem ~~je~~ do tej skrzynki i schowałem pod progiem ~~pralni~~ pralni. Oczywiście w tajemnicy przed ojcem.

~~W 1942 r. wstąpiłem do AK. Przynięto odebrać ode mnie Janek Raciborski ps. "Efryd" zaczął się ściganie. Polaków. Gdy tylko który coś powiedział na nich, to zaraz wywozili na wschód.~~

Można było się uczyć więc poszedłem do szkoły. W Białymstoku było Technikum Kolejowe. Mieściło się w budynku stojącym z tyłu obecnego RKU. Były w nim dwa wydziały: parowozowy i wagonowy, na który ja się zapisałem. Uczyliśmy się już po rosyjsku. Cofnęli nas o dwa lata, z 7-ej klasy do 5-tej.

Gdy w 1941 r. przyszli Niemcy zamknęli szkołę i musieliśmy iść do pracy. Zatrudniłem się w ZNTK w Łapach. Tam, w 1942 roku wstąpiłem do AK. Przysięgę odebrał ode mnie Janek Raciborski ps. "Efryd", były członek "Strzelca". Był on dowódcą drużyny a dowódcą plutonu był stary legionista "Dąbek" ^{- Dembowski} jego syn to był mój kolega. Oprócz mnie do tej drużyny należeli jeszcze m.in.: Heniek Iwaszczuk, Ziutek Pułaszczak /był później u "Burego"/ ps. Gołąb, mieszka w Łapach. Do przyjscia sowietów w 1944 r. byłem łącznikiem między "Efrydem" a "Dąbkim". Gdy oni przyszli dowództwo wydało rozkaz by wszyscy akowcy obejmowali stanowiska w komunistycznej administracji, milicji i UB. Zgłosiłem się do takiego jakby RKU, które albo wysyłało do wojska albo do milicji. Ja zgłosiłem się do milicji i wysłali mnie do Piekut na posterunek. Komendantem był Witek Czechowski, a jednym z członków załogi Witek Stypuk-

kowski - obaj akowcy. Był jeszcze Ziutek Łapiński. Łącznie pojechało nas na ten posterunek chyba ze 6-ciu. Sami akowcy. Nie doszliśmy²⁴ mundurów. Nawet nie wszyscy dostali broń. Ja miałem ten karabin, co to dostałem go od ukłanów w 1939 r.

Gdy tylko przyjechalismy do Piekut pojechałem do Zalesie, które było położone 6 km od Piekut, gdzie mieszkał mój kuzyn Mieczysław Szulborski, który miał odpowiednie kontakty konspiracyjne. Powiedziałem mu: "Mietek, ~~ja muszę~~ ^{my tu mu-} ~~siemy mieć~~ ^{skrzynkę kontaktową,} ~~kontakt~~" i on skierował mnie na ~~kontakt~~ komendanta obwodu "Witolda", która była w Kostkach-Noskach. Stamtąd odbierałem rozkazy, które zwykle mówiły o tym żeby chronić własnych ludzi. Tam też poznałem "Witolda", który przyjechał pewnego razu na rowerze i "Huzara". Gdy więc UB przyjeżdżało na akcje, to zawsze brało komendanta i żądali pomocy, ~~to~~ ^a my zaraz ostrzegaliśmy zagrożonych ludzi z siatki. "Huzar" w tym czasie już ukrywał się i czasami ze swymi chłopakami nocował u nas na posterunku. Jako milicjanci to kleiliśmy durnia bo nasza praca polegała na tym, że pojedzie się gdzieś na wieś, wypije samogonu a wracając postrzela na wiat.

W UB w Wysokiem Mazowieckiem również pracowali nasi ludzie, m.in. Edek i Ignac Olczykowie i oni zawiadomili nas, że mnie mają aresztować. Umówiłem się więc wcześniej z "Huzarem", gdzie oni mają na mnie czekać i jak to zrobić, żeby moje ucieczka nie wydała się. Akurat Szepietowo podeszło nam dwóch uchylających się od wojska chłopków. Razem z drugim milicjantem, który był "lewy" - nie nasz - miałem dostarczyć ich do Wyszek. Stamtąd

mieli oni być dostarczeni do Bielska Podlaskiego, do wojska. No i rzeczywiście w umówionym miejscu czekało na mnie pięciu chłopków w mundurach. Tego milicjanta puścili a nas zabrali ze sobą. Dla pozorów, gdy odeszliśmy już kawałek, wystrzelili z karabinu, że niby zabili mnie, żeby ten milicjant był o tym przekonany. A tych dwóch chłopków też puścili. Wrócili do swojej wioski.

Spotkanie nastąpiło we wsi Józki, 3km od Piekut. ~~soi~~ poszliśmy od razu na kwaterę. ~~A~~ Je już trochę chłopków znałem. Był tam taki "Redos" z Gw²aron, Antek Jabłoński "Mur" i "Wąsal". ~~Była xxx~~ Zastępcą jego był "Groźny" z Dąbrówki Kościelnej. Był jeszcze "Szczygieł" i "Jerzabek" Czesiek z Posel spod Pułsziak oraz "Lech" w z Wysokiego Mazowiecka. Z nich żyje chyba tylko "Szczygieł" w Poświętnem albo w Warszawie.

Oddział miał konia, kasztan taki, z furmanką. Jeździliśmy więc jak ten cyrk. Wszyscy miescili się na jednej furze. Poruszaliśmy się tylko nocą. Ludzie przyjmowali nas bardzo chętnie, nie wiem czego by nam dali gdyby tylko mogli. Gdy zachodziliśmy na teren innej kompanii wtedy "Huzar" kontaktował się z dowódcą tej kompanii i dowiadywał się, jakie roboty trzeba tu wykonać.

Gdy nad ranem zajeżdżaliśmy do wioski, wtedy "Huzar" wyznaczał, kto ma pełnić wartę i oficera inspekcyjnego. Wartę pełnił zawsze jeden żołnierz i jeden człowiek ze wsi, z siatki. Zwykle zajmowaliśmy dwa domy, po czterech na każdy. Zawsze obowiązywało ostre pogotowie. Można było zdjąć tylko pas, czapkę i ewentualnie kożuch. Ponadto spać mogło tylko czterech. Reszta zawsze czuwała.

Na początku mieliśmy trzy erkaemy. Ja miałem czeską "Zbrojówkę" - półkarabinowiec. Przed nią to miałem jeszcze fiński automat PPD, podobny do pepeszy ale ten czeski był jeszcze lepszy.

Oczywiście cały czas mówiło się, że trzeba jak najprędzej wywalczyć tą Polskę, zniszczyć komunę, bo przecież jeszcze miesiąc, dwa, później rok i wybuchnie wojna między Zachodem a Rosją.

Latem wyszła sprawa z ujawnieniem. "Witold" zwołał (w Wojnach pod Szepietowem - był tam też "Bil" - jego adiutant) naradę i powiedział, że kto chce może się ujawnić, ale on nie ujawnia się. Nawet specjalne hasło było ustalone z UB, żeby nie dochodziło do starcia naszych oddziałów z nimi. Gdy któregoś razu "Huzar" wysłał mnie z 6-ciościami ludźmi do jakiejś wsi /Rzepki czy Zochy/ natknęliśmy się niespodziewanie na UB. Szykowaliśmy się już do walki ale powiedziałem do ubeków, że to oddział "Huzara" jedzie w sprawie Orwida i puścili nas bez zaczepiania. Właśnie sprawa Orwida była tym hasłem.

"Witold" powiedział wtedy na naradzie, że: Panowie, sytuacja się zagmatwała, nie możemy liczyć na szybki przebłysk wolności. Kto chce - nie bronimy, ale ja na przykład nie ujawniam się". Z oddziału ujawnili się "Groźny" i "Redos".

W tym czasie było już nas ze 30-tu, m.in.: "Pirat" - Władek Merciniak z Łep, "Rybak" - Czyżewski, "Czarny" - - Dziemienowicz, jego brat, Śniecińszczak. Początkowo, przez kilka miesięcy to ja jeden w oddziale byłem z Łep, potem jak zaczęli dołączać do nas następni to z Łep w oddziale było 50 % chłopaków.

W maju albo czerwcu 1945 r. "Huzar" dostał wiadomość, że z Łep do Wysokiego Mazowiecka UB będzie przewozić 7-miu aresztowanych naszych ludzi z miejscowej siatki. Na szosie Płonka - Łepy zrobiliśmy więc na nich zasadzkę. Gdy pojawił się odkryty samochód, półciężarówka, wypełniony ubekami dałismy ognia. Nasze pozycje były na wzgórku i na skraju lasu, od szosy jakieś 40 metrów. Było nas około 17-tu. Najpierw otworzyliśmy ogień erkaem znajdujący się na wzgórzu. Pierwsza seria poszła w dół, przed samochód, żeby się zatrzymał. I rzeczywiście, samochód zatrzymał się, ubecy zeskoczyli na ziemię, skoczyli do rowu i zaczęli się ostrzeliwać. Wtedy zaczęliśmy krzyczeć do nich żeby poddali się, bo z nami nie wygrają a oni odpowiedzieli na to jeszcze większym ogniem. Wówczas z lasu odezwał się drugi erkaem, a "Redos", z trzecim erkaemem dostał rozkaz przeskoczenia na drugą stronę szosy, żeby wykurzyć ich z tego rowu. Razem z nim przeskoczyło wtedy 6-ciu ludzi. Ja wtedy byłem na wzgórzu, gdzie był pierwszy erkaem. No ubecy nie mieli już żadnych szans. Krzyknęliśmy do nich: "Poddaszcie się, bo inaczej wszyscy zginiecie", chociaż wcale nam na tym nie zależało, żeby ich wybić, bo o co innego nam chodziło. Niestety, jak potem się okazało, wśród kilku zabitych, jakich oni mieli, był nasz ~~xx~~ człowiek - Ptaszyński. Zginął też komendant powiatowy z Wysokiego Mazowiecka oraz jakiś sowiet. Ubecy, gdy zobaczyli, że nie mają szans sami zaczęli rzucać broń i podnosić ręce. Podskoczyliśmy do nich, rozbroili i w kalesonach pusciliśmy do Łep. Na koniec dostali tylko ostrzeżenie, żeby nie wyjeżdżali w teren i nie robili areszto-

wan wśród Polaków.

Odskoczyliśmy od miejsca walki jakieś trzy kilometry, na drugą stronę Łep, w lesie poczekaliśmy do wieczora i w nocy wkroczyliśmy do Łep.

W tym czasie już nie mieliśmy furmanki, bo oddział ciągle powiększał się, tak że maszerować było ciężko, bo każdy musiał nieść swój dobytek i uzbrojenie. Ja, mając półkarabinek, miałem do 6 magazynków po 30 naboju, dwa granaty - obronny i zaczepny albo np. dwa obronne, pistolet i w torbie 300 szt. amunicji luzem do karabinu i 50 szt. do pistoletu. Tak, że było tego do 30 kg. Zimą to jeszcze pół biedy, bo chodziło się w kożuchach i nie odczuwało się ~~xię~~ tak tego ciężaru, ale latem, gdy chodziliśmy w bluzach było ciężko. A do tego wszystkiego dochodziły jeszcze osobiste rzeczy jak pasta, szczotka do zębów i inne drobiazgi. Tak, że byliśmy całkowicie uzależnieni od ludności. Czasami jak gospodarz nie miał co włożyć do garnka to komendant dawał mu pieniądze i wysyłał na wies, żeby kupił jakiego kurczaka czy co innego, ~~czy włożyć do garnka~~

W oddziale była też szkoła podoficerska. Wykłady prowadził zastępca komendanta obwodu "Bil". Mieliśmy podręczniki wojskowe. Wykłady odbywały się z różną częstotliwością: raz czy dwa razy w tygodniu a czasami raz na dwa tygodnie, w zależności od sytuacji w terenie. Nie zawsze "Bil" mógł do nas przyjechać. Każdy musiał brać udział w tych zajęciach. Kurs kończył się egzaminem i chłopaki bardzo dobrze dawali sobie radę z mapami sztabowymi.

Pamiętam byliśmy wtedy ^{w 1946} za Bugiem. Noc. Od jakiejś 5-tej godziny rano walka. Rozbiliśmy wtedy Mosów w pow. Sokołów Podlaski. Ruskich natrzepaliśmy.

Oddział w tym czasie podzielony już był na 6-cio osobowe sekcje. Każdy sekcyjny był podporządkowany bezpośrednio "Huzerowi". Oprócz mnie sekcyjnymi byli m.in.: "Rybak", "Redos", "Bystry". Ja byłem awansowany do stopnia plutonowego.

Wracając jeszcze do Zap to po ~~krótkim~~ dotarciu do ~~języc~~ miasta, na jego skraju podzielił się na trzy grupy, które rozeszły się w trzech kierunkach i spotkały się w centrum. Dowodzili nim: "Huzar", "Redos" i albo "Bystry" albo "Rybak" - nie pamiętam bo obaj byli w stopniu sierżanta podchorążego. Ja byłem w tej ostatniej grupie.

Gdy dotarliśmy do centrum to pod posterunkiem MO już trwała walka. Dołączyliśmy do chłopków, ruszyliśmy na "urs" i zdobyliśmy ten posterunek. Z milicjantów bodajże nikt nie zginął. Rozbroiliśmy ich tylko. Natomiast UB wymknęło się nam. Dwóch ubeków to nawet szukaliśmy w kilku miejscach ale nie znaleźliśmy ich, mimo tego, że pomagali nam chłopaki z miejscowej siatki. Po zlikwidowaniu kilku komunistów, na których były wydane wyroki, wycofaliśmy się do odległego o 7 kilometrów Daniłowa.

Uzupełnienie do okresu niemieckiego

Pamiętam razem z kuzynem Szulborskim przewoziliśmy broń z jednej kompanii na drugą, na I batalion. Była zima. Jechaliśmy saniami kuzyna. Miał takiego fajnego karego

konia. Bron przerzucaliśmy aż spod Szepietowa. Raz^w wsi, do której mieliśmy zajechać znał oczywiście tylko on. To gdy zbliżaliśmy się do zastawionego uszu Poświętne było nocą. Raptem słyszę z niemiecką rozmowę. "Ty, ty, Mietek, tu gdzie Niemcy są. Wpadliśmy" - "O cholera". Nasz koń był bez dzwonka a ich miał. I coraz ~~xxx~~ lepiej było go słyszeć. Zbliżali się do nas. Trzech Niemców jechało saniami. Byli chyba gdzieś na popijawie bo śpiewali i rozmawiali głośno. "Pijane - mówię, to nas jeszcze ratuje". Podjechali do nas i pytają się mnie: "Trink, trink" - Odpowiadam więc, że: "Trink". Wtedy drugi Niemiec pyta się: "Fleisch, fleisch" - "Gut fleisch" - odpowiedział Mietek ale z rękę trzymamy na pistoletach a ich koń obok naszego już stoi. Na szczęście jeden do drugiego powiedział coś, że: "Odz jedziemy, zaraz świt, co ty tu z nimi będziesz gadał". No i pojechali. To my już nie jechaliśmy przez Poświętne tylko skręciliśmy na drogę na Kaminskie i podjechaliśmy pod przejazd kolejowy między Ossem a Zapami, tam gdzie dzisiaj jest most. Tam stał wtedy strażnik niemiecki i zaczął do nas krzyczeć "Halt, Halt". Mietek jak przyłożył koniowi batem to tylko iskry mu spod kopyt leciały tak gwałt a Niemiec zaczął do nas strzelać. Ale uciekliśmy mu.

Po odskoczeniu do Daniłowa przez dzień wypoczęliśmy i poszliśmy w nocy do lasu na Rietkowo. A tam chłopci nasowo wycinali państwowe lasy, nie mając na to niczyjego zezwolenia. Myszmy tępili takie rzeczy, bo komu jak trzeba to trzeba ale byli już takie cwaniaki, że wycinali drzewo i handlowali potem nim. Chłopów tych najechało się wtedy

tyłe, że jak na jarmarku było. To tacy dostawali pyty na tyłek i jak który był zamożniejszy, o czym już donosiła nasza siatka, to dostawał jeszcze kontrybucję do zapłacenia.

Potem zajęliśmy się posterunkami MO w terenie. To była prosta sprawa, trzeba było tylko mieć do tego trochę serca. Wchodziło się do środka w kilku, mówiło się: "Rączki do góry" i posterunek był zajęty. Jak broń była dobra to zabieraliśmy ją. Tak załatwiliśmy na przykład posterunek w Klukowie. W Szulborzu mieliśmy trochę kłopotów. Podeszliśmy nocą, otoczyliśmy ich i krzyknęliśmy "Poddać się, tu jest oddział "Huzara". Wtedy oni otworzyli do nas ogień. Ale nie mieli szans. Budynek był drewniany. Przykryliśmy ich ogniem i w pięć minut było po walce. Mieli chyba dwóch ranych. Na jednym z milicjantów był chyba wykonany wyrok. Ale nie pamiętam dobrze.

Posterunek w Tykocinie to zrobiliśmy jeszcze w marcu albo w kwietniu 1945 r. Przyszliśmy w nocy. Podstawiliśmy wartownikowi lufę pod nos i bez przeszkód weszliśmy do środka. Było nas chyba 9-ciu, czy 10-ciu.

Po kilku miesiącach zrobiło się u nas krucho z pieniędzmi. Nie było na żołd. Ja dostawałem ok. 500 zł na miesiąc. Pewnego razu wywiad dał nam znać, że w Łepach u kolejarzy będzie wypłata. W kasie miał być milion złotych. Na akcję tą poszło nas czterech: "Huzar", "Jarząbek", ja i jeszcze jeden. Ubrani byliśmy po cywilnemu. Każdy miał po dwa pistolety. Wiedzieliśmy już w którym pokoju i o której godzinie miały być pieniądze, przywiezione z Bisłegostoku. *Budynek ten był w centrum miasta.*

Znając Łepy, będąc tam urodzony, nie mogłem wejść do

środku bo by mnie poznali. Mówię więc do "Jarzabka":
"Czesiek, ja nie mogę wejść do środka bo mnie tam znają. Matka żyje, siostry żyją, bracia też. Na nie mogę tam wejść w żaden sposób. Idź ty, a ja będę cię ubezpieczał."
Czesiek zgodził się. Wszedł do środka sam. Ja stanąłem w korytarzu, między pierwszymi /wyjściowymi na zewnątrz/ drzwiami z drugimi drzwiami, które prowadziły do kasy. Przede mną był, skręcający w lewo korytarz. Na zewnątrz, z odległości ok. 30-tu metrów ubezpieczał nas z ukrycia "uzar".

Gdy tylko "Jarzabek" wszedł do środka, do kasy, i krzyknął: "Rączki do góry, pieniądze proszę" zobaczyłem idących prosto na mnie dwóch sokistów. Ręce miałem schowane w kieszeniach, trzymałem zacisnięte na kolbach pistoletów. Przygotowałem się już na to, że jak tylko podejdą do mnie to otworzę do nich ogień. Ale sokisci, na swoje szczęście, po wejściu z podwórza skręcili korytarzem w lewo i poszli ~~wygląd~~ dalej, gdzie mieli swoje pokoje. I tak to, pod nosem sokistów sprzątnęliśmy gładko prawie milion złotych. Odskokczyliśmy szybko i bez przeszkód na Dębówkę, gdzie mieliśmy melinę. Pieniądze były w teczce przywiezione, tak, że nie musieliśmy ich nawet pakować. To było 28 sierpnia 1946 r. Zdobyliśmy dokładnie 755 tys.

11 września 1946 r. jeszcze za dnia weszliśmy do Sokołowa Podlaskiego. Było nas około 45. Najpierw oczywiście rozbiliśmy posterunek milicji. Potem zaraz w całym miasteczku wystawiliśmy ubezpieczenia. A na stacji, 2km od Sokołowa, stało ruskie wojsko. Oni uderzyli na nas. Ale jak daliśmy im

ognia to tylko słychać było ich krzyki: "Wańka udiraj. Partizanty polskie bijut". I zaczęli uciekać. A nasza zasadnicza grupa była w centrum miasteczka. Posterunek załatwił albo "Ponury" albo "Bystry". Gdy ruskie wycofali się to i my zaczęliśmy się wycofywać i wtedy ktoś powiedział: "Panowie, a po choklerę stoi ta spółdzielnia" i pokazał na sklep spółdzielczy. Ktoś dodał: "Przydałaby się pasta do zębów i mydło" no i ^{cywile - mieszkańcy} wzięli ~~my~~ rozbili ten sklep. Zarz^a przyniesli łomy i zaczęli szabrować. Myśmy tam nic nie brali poza najpotrzebniejszymi rzeczami jak pasta do butów, do zębów czy mydło. I ~~z~~ stamtąd wycofaliśmy się do puszczy sterdynowskiej.

Na skraju tej puszczy stały: leśniczówka i gajówka. "Huzar" z oddziałem poszli do leśniczówki, a ja z "Ponurem", "Byстрыm" - same stare partyzanty - poszliśmy do oddalonej o 100 metrów gajówki, żeby nie być skrępowanym obecnością "Huzara". Chodziło o to, że skombinowałem po cichu pół litra wódki i chcieliśmy wypić to we własnym gronie, a jak wiadomo, w oddziale była surowa dyscyplina i picie wódki było surowo zabronione. Wódkę tę wziąłem po cichu z tego rozbitego sklepu. Wsadziłem ją w torbę i potem mówię do "Ponurego" i "Bystrego": "Trzeba żołnierzy położyć, niech śpią, kół^o im zrobić a my, oni będą spać, a my po cichu sobie wypijemy". "Ponury", jak się dowiedział, że mam wódkę to rozesmiał i powiedział "Chyba Pan Bóg cię tu przyzwał. No to dawaj to". Gospodyni dała nam zakąskę, to co jeszcze zostało ze śniadania, i szklanek no i powoli sobie popijamy. Ja byłem wtedy ~~oficerem~~ inspekcyjnym i jakbym przeczuwał, że coś

się stanie. Byłem trochę niespokojny. Do mnie wtedy, jako inspekcyjnego, należało ubezpieczenie w marszu i na postoju. Służba trwała 24 godziny. Posterunki były wystawione na skraju puszczy. Było ich cztery po jednym żołnierzu. Natomiast nie wystawiliśmy posterunków od strony puszczy, bo nie spodziewaliśmy się, że z tego kierunku może ktoś nadejść. Nagle usłyszałem serie z broni maszynowej. To ostrzeliwały się nasze posterunki. Chwycałem pistolet maszynowy, otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na podwórze. W momencie gdy otworzyłem te drzwi, nad mną przeleciała seria z erkaemu i uderzyła w te drzwi z taką mocą, że je aż odrzuciła za wągiel. Skoczyłem więc za róg i zacząłem się ostrzeliwać. Okazało się, że ubowcy minęli częściowo nasze posterunki z boku, bo nadeszli od strony puszczy, i podeszli do nas na jakieś 50 metrów. Ale w tym czasie dostali z boku ogień z naszych erkaemów od strony lesniczówki. Wzięci w krzyżowy ogień przez nas ubowcy rzucili się do ucieczki. Ale i "Huzar" zarządził odskok z tego miejsca. Zaczęliśmy się wycofywać w kierunku skraju puszczy sterdynskiej. U mnie jeden był ranny. Moja sekcja była oczywiście na koniach. Przekroczyliśmy szosę. Na skraju puszczy była piękna polana. Ciągnęła się może ze dwa kilometry. Uznaliśmy, że jeżeli idą za nami to mogą nadejść tylko od tej strony. Zajęliśmy stanowiska w rowie melioracyjnym i czekamy. I rzeczywiście. Po jakimś czasie pojawiła się jedna tylariera, druga, trzecia. Zaczęli nas ostrzeliwać z granatników. Zaczęło robić się gorąco. Wyprowadziliśmy więc z ognia nasze konie, jakieś 200 metrów poza zasięg granatników. Pod-

puściliśmy pierwszą linię na ~~już~~ 30-40 metrów i jak daliśmy ognia to tą pierwszą tyralierę dosłownie zmiotło. Druga i trzecia natomiast rzuciły się do ucieczki. Powalczyliśmy tak z pół godziny i komendant kazał nam wycofywać się. Po zbiórce marszem ubezpieczonym odskoczyliśmy jakieś 5-6 kilometrów do jakiejś wioski. ~~Rzucił~~ ~~si~~ Robiło się już szarawo. Nadchodził zmrok. Byliśmy już zmęczeni i głodni. Nie dali nam przecież wyspać się w dzień i tyle już czasu walczyliśmy i maszerowaliśmy. W wiosce ^{jednak} czekało nas ~~już~~ ~~już~~ UB. Urządzili tam na nas zasadzkę. A myśmy maszerowali w ten sposób, że z przodu szło dwóch szperaczy, za nimi ubezpieczenie z erkaemem - erkaemista plus dwóch pomocników - i za nimi, jakieś 50 metrów ~~xxxxxx~~ oddział, który w trakcie marszu podzielił się na trzy grupy. Odstępy między nimi wynosiły jakieś 20 metrów. "Huzar" zawsze szedł z przodu. Ja byłem wtedy chyba w środkowej grupie. Moja sekcja była spieszona. Dość mieliśmy już tej jazdy cały dzień na koniu i woleliśmy przejać się.

Ubezpieczenie nasze tak późno otworzyło ogień, że my niemal wleźliśmy na tych ubeków. Ni z tą ni z ową pokazywali się w zasięgu ręki. To jak poznał czy swój to było dobrze a jak nie poznał to walił w łeb. Gdy tylko usłyszeliśmy ogień ubezpieczenia pierwsza grupa natychmiast rozsypała się w tyralierę i wykurzyła ubeków ze wsi. No, nie wszystkich, bo jak my, druga i ²¹trzecia linia tam weszliśmy to ciągle się pojawiali.

Zrobiła się już noc. Pod swoją komendą miałem sześć koni, wóz z amunicją. ^{i 6ciu ludzi} Nie miałem latarki, żeby zaswiecić

eni zapłek. Nie mogłem zorientować się w sytuacji. Zrobił się mętlik. Nikt nie wiedział gdzie co i kto jest. Z drugiej sekcji dołączyło do mojej jeszcze kilku ludzi tak, że razem było nas 13-tu. Myślę co tu robić. Tych nie widzę, ci się wycofali ja zostałem się ostatni. Więc mówię: "Nie ma tu się co zatrzymywać. Wycofujemy się za Bug". Ciemną nocą ~~na~~ przeszliśmy przez puszcę i skierowaliśmy się na wioskę wrony, gdzie był prom. Obsługiwał go nasz człowiek. Ściągnęliśmy go i po uprzednim ubezpieczeniu przeprawy - łódką wysłaliśmy na drugi brzeg trzysobowe ubezpieczenie - spokojnie przeprawiliśmy się przez Bug po czym odskoczyliśmy aż nad rzekę Nurzec, pod Lubowicz. Tam dopiero odpoczeliliśmy.

Druga grupa przebiła się przez ubowców, przez wiosko-koło Luzel, ke i przeszła rzekę w pław. Natomiast grupa, w której był "Huzar" wycofała się do puszczy, gdzie była trzy dni i nosa nie wystawiali na zewnątrz.

Gdy tylko przyszlismy do tej wsi zaraz załadowałem rannego z mojej sekcji na furmankę i kazałem zawieść go do lekarza. Na szczęście rana nie była ciężka, bo dostał w rękę. Doktor porobił zastrzyki i było w porządku. W Lubowiczu to mieszkaliśmy na kolonii u naszego człowieka. Nie był zamożny, to musiał na wsi kupować dla nas żywność. I ~~ty~~ tym, do tej wsi, wracały poszczególne grupy. "Huzar" zjawił się dopiero po 4 dniach. Zarządził koncentrację i przegląd, żeby zorientować się w naszych stratach. ~~był~~ był tylko jeden ranny z mojej sekcji.

Stamtąd poszlismy w kierunku Łep. Jednocześnie w Ludzi poszła plotka, że oddział rozbity, dużo zabitych i ran

nych. ^{Niby} zostało się tylko kilku.

Z Kanią to było tak. Byłem wtedy na urlopie, na melinie ~~w dzień przez łącznika~~ i dostałem rozkaz stawienia się w pełnym uzbrojeniu na punkcie w Poselach. Byłem wtedy na tym urlopie, ze względów ~~z~~ zdrowotnych. Buty miałem za ciasne i stopny mocno poobcierałem. Niedaleko mnie na melinach byli również: "Jarząbek", "Redos" i "Kur". Razem ~~dołączyliśmy~~ ^{w noc} do oddziału pod Szepietowem. "Huzar" powiedział mi, że dziś ma być w Szepietowie komendant powiatowy z Wysokiego Mazowieckiego - Kania.

Wieczorem wyruszyliśmy w drogę. Było nas 15-tu. Oprócz już wymienionych byli jeszcze m.in. Śnieciański "Czary", Dziemianowicz "Czarny", jego brat Wacek. Był lekki mróz. Podeszliśmy cichutko. Przed posterunkiem milicji nie było wartownika. Kilku z nas opanowało więc posterunek bez jednego wystrzału, po cichu i błyskawicznie. Po rozbrojeniu milicjantów puściliśmy ich wolno a sami poszliśmy szukać Kani. Ludzie z siatki już nam powiedzieli w którym domu on jest. Był to dom stojący obok posterunku.

Zapukaliśmy w drzwi. Były zamknięte. Zamiast jednak ~~xxx xxxxxxxxxx~~ pojawienia się gospodarza usłyszeliśmy strzał z pistoletu. Ktoś strzelał przez drzwi. To był oczywiście Kania. Wtedy my daliśmy serię po tych drzwiach. Nastąpiła cisza. Uderzyliśmy w drzwi. Ustąpił. Wbiegliśmy do środka. Byli tam ludzie. Powiedziałem do nich: "Wy się nie bójcie, my tylko chcemy dostać tego komendanta". A on w tym czasie uciekł na górę i co który wejście na schody to on walił do niego z pistoletu. Musiał mieć du-

zo amunicji bo ciągle strzelał do nas, a przecież w magazynku tetetki mieściło się 9 naboí. Chcąc zmusić go do wystrzelania tej amunicji to robiliśmy taki podstęp, że na kijek nasadzaliśmy czapkę i wystawialiśmy ją za zakręt schodów. Ale ta amunicja nie chciała mu się skończyć. I tak bawiliśmy się z nim z godzinę a może i więcej. W żaden sposób nie mogliśmy do niego podejść. I wtedy jeden z nas jakoś go naniertzyl i pociągnął serię po suficie. Potem jeszcze raz ^oporawik. wystawiliśmy czapkę na kijku - nic. Cisza. Weszliśmy po schodach i zobaczyliśmy go jak leżał. Był martwy. Zabraliśmy jego torbę, pistolet, mundur i wycofaliśmy się.

Niedługo potem były święta Bożegonarodzenia. To były smutne święta, nie było tak jak w domu. Gospodarz nas poczęstował jak trzeba i zaraz tej samej nocy pomaszerowaliśmy do następnej wsi. Natomiast na święta Wielkiejnocy 1945 r. to poszliśmy do spowiedzi ^{kościół w} do Chodyszewie. Było nas wtedy około 20 ludzi. Byliśmy już umundurowani. Broń zostawiliśmy przed kościołem w kozłach. Przy niej wystawiona była warta a my poszliśmy sobie do kościoła. Naszego bezpieczeństwa pilnowały wystawione po całej wsi czujki. Nasiadz był już odpowiednio wcześniej uprzedzony o naszej wizycie tak, że nie był zaskoczony. Po spowiedzi przyjęliśmy komunię św. i odeszliśmy spokojnie do następnej wsi.

Potem jeszcze raz byliśmy w tym Chodyszewie. Jeden z naszych dostał polecenie pójscia do ~~tam~~ tej miejscowości, bo tam miał być ³ ¹ ² agent. To było chyba jakieś dwa-trzy miesiące później, na Matki Boskiej Siewnej chyba. Naszych

dwóch, ubrenych po cywilu poszło na ten jarmark i jeden z nich - taki fajny chłopak, "Żbik" z Lidy. (został zastrzelony przez omyłkę przez jednego z dwóch eneszetowców, którzy też przyszedli na ten jarmark w celu likwidacji tego samego agenta. Staliśmy wtedy dwa kilometry od tego Chodyszewa i jak dowiedzieliśmy się o tym, to zaraz chcieliśmy tam lecieć i zrobić porządek, ale siatka dla zniszczenia, że ci dwaj już znikli i nie było sensu ujawniać swojej obecności. ~~potem xxxxxxxxxx jakos zeszło do wie- ezers. Potem "huzar" spotykał się kilkakrotnie z "Burem", bo ci dwaj eneszetowcy, byli od "Burego", i uzgodnił z nim coś tam.~~

Stamtąd poszliśmy pod Łapy. Korzystając z okazji poszedłem do komendanta i mówię: "Panie komendancie. Wpadnę do Łap i zobaczę jak tam rodzina, bo nie byłem w domu od pół roku". Dostałem zgodę. Zależało mi szczególnie na tych odwiedzinach, bo trochę niepokoiłem się o rodziców. Wiedziałem, że UB ich nachodzi i słyszałem o plotkach, że nie żyją, które na pewno dotarły do mamy.

Umówiłem się z "Huzarem", że oddział podciągnie ~~na~~ ^{tam} Łapy i spotkamy się ~~xxxxxxx~~. Wziąłem dwóch ludzi i poszliśmy do moich rodziców. Zachodzę do domu. Patrząc a matka zapłakana. Włosy potargane "Zobacz synu" - i pokazuje mi sine pręgi na nogach a ten skurwysyn wziął pychę i tak lał moją matkę. "Kiedy to się stało" - pytam się. "A może pół godziny czy godzinę temu. Niedawno". No to mnie nic więcej nie było potrzeba. Poszedłem na umówione z "Huzarem" spotkanie i mówię: "Panie komendancie, ~~je~~ ~~xxx~~ już ~~ja~~ tego człowieka ~~już~~ z Łap nie wypuszczę". Cały oddział był już na miejscu. Chłopaki z siatki zaraz nam powiedzieli ~~głazix~~, że Pogorzelski jest na stacji. Cały od-

dział zaraz tam podciągnął. "Ja się z nim rozprawię - mówię do "Huzara" - ^{muszę} ja go dzisiaj dostać".

Na peronie stał pociąg Białystok - Warszawa. Razem z "Czarnym" przeszedłem ~~z~~ cały skład. Dlatego my, bo ubrani byliśmy w cywilne ~~szare kurtki~~ płaszcze. Na peronie ubezpieczał nas "Pirat" - Władek Marciniak z kolegą, żeby nam kto na plecy nie wszedł. Dobrze sprawdziliśmy pociąg ~~nie~~ ^{ale} nie znaleźliśmy ubeków. ^{Staliśmy na peronie gdy} ~~ale na peronie~~ podszedł do mnie jeden z łąpskich milicjantów i mówi do mnie: "Jurk, oni ~~są~~ są w parowozie". Podeszliśmy więc do lokomotywy. Patrzą są. Pytam się: "Pogorzelski?". - "Tak" - usłyszałem odpowiedź. Nie pamiętam już kto pierwszy strzelił. Jedną, lewą, ręką chwyciłem się za ²¹brajerkę, chcąc wejść po schodkach do lokomotywy a w drugiej ręce trzymałem pistolet. W momencie gdy stanąłem na schodkach prawą ręką nieco odchyliłem w bok i wtedy Pogorzelski trafił mnie w nią, ale tego nawet nie poczułem i nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem ranny. Miałem mimo to dużo szczęścia, bo z odległości 2-3 metrów on nie miał prawa spudłować. Wystrzeliłem do niego kilka razy, poprawił jeszcze "Czarny" i Pogorzelski padł na podłogę. Wszedłem do środka. Drugi ubek, ranny, poddał się. Sprawdziłem Pogorzelskiego. Był martwy. Kopnąłem jego ciało żeby spadło na peron i wycofaliśmy się. Wracając do ~~wózni~~ oddziału zauważyłem, że coś mi ciepło w rękę. "Co za cholera" - myślę. Podniosłem przelożyłem broń do drugiej ręki i sprawdziłem palcem ją i widzę krew a na dłoni skóra osmieszona od prochu, czyli ~~je~~ lufa pistoletu niemal dotykała mojej dłoni. Tak blisko siebie byliśmy. Zaraz poszedłem do lekarza. Zrobił mi opatrunek i zastrzyk przeciwtężcowy. Ale łapa i tak

mi spuchła jak balon od tego prochu.

Oddział, po wykonaniu swoich zadań wycofał się do Daniłowa. Tam był nasz sanitariusz i on przez miesiąc czasu leczył mnie. Potem wróciłem do oddziału. Jak się jednak okazało Pogorzelski przeżył, pomimo tego, że dostał łącznie 8 pocisków. Ja wystrzeliłem 3 i "Czarny" - 5. Dostał w szyję, dwa razy w głowę, w nogi i przeżył. Potem spotkaliśmy się w jednej celi w więzieniu. w Białymstoku. Sam wtedy powiedział do mnie: Jak ty żeś strzelał do mnie, że ty mnie nie zastrzeliłeś? Albo dlaczegoście mnie nie dobili?". - "Gdybym wiedział, że w tobie jeszcze jaki duch jest to byś dostał cały magazynek". - "Widzisz, ty walczyłeś przeciwko tej komunie a ja byłem z tą komunią, walczyłem o nią i wspierałem ją, zwalczałem was i teraz razem z wami siedzę". Z niego to był łobuz, bo jak był gdzie na rewizji to potrafił rozebrać budynek od dachu do fundamentów. Aż narzeszcie się dochrapał.

W lutym 1946 r. nad ranem przyszliśmy do Wołkun. Nasza kwatery, mojej sekcji, była w pierwszym budynku z brzegu wsi. Jak raz miałem wtedy inspekcyjnego. Oddział miał wtedy około 30 ludzi. Siedzimy sobie u gospodarza, gdy raptem dostałem wiadomość, że w Brzozowie jest UB. Komendant zaraz zarządził dla oddziału alarm. Pochowaliśmy się w zabudowaniach. Patrzymy, rzeczywiście, od strony Brzozowa pojawiła się tyraliera. Myśleliśmy, że może jak nie będziemy ich zaczepić to nas nie zauważą, miną nas i pójdą albo na Liziankę albo na Wilkowo. Szli odkrytym polem. Było ich może ze dwudziestu. Może więcej. Szli bez ładu. Po trzech, czterech. Mówię więc do chłopków: "W

razie czego poobstawić okna, żeby nam granatu nie wrzucili". Jednocześnie ściągnąłem posterunki, które zajmowały pozycje od strony zbliżającej się oblawy. Natomiast posterunki znajdujące się na pozostałych krańcach wsi pozostawiłem.

Takie już moje marne szczęście, że jak tylko KBW weszło do wsi, to zaraz trzech zapukało do drzwi naszego mieszkania. Otworzyłem drzwi, strzeliłem do żołnierza i krzyknąłem do chłopaków, żeby uciekali z domu, żeby nie narażać ~~ryzyki~~ gospodarzy. Dwaj pozostali kabewiacy natychmiast odskoczyli i skryli się za stodołę, natomiast gdy ja wyskoczyłem przez te drzwi, zaraz nad mną przeszła seria z erkaemu. To strzelali do mnie trzej z KBW, którzy szli ^{po} ~~zadaniem~~ i ubezpieczali tych pierwszych.

"Luzer" natychmiast rozrzucił oddział w tyralierę i podzielił go na dwie grupy, które zaszyły atakujących. Tak przykryliśmy ich zmasowanym ogniem 7-miu czy 8-miu z obu skrzydeł. Ja znalazłem się wtedy w samym środku erkaemów, że nie mogli się ruszyć walki, ale niedługo ~~to~~ trwało, bo oblawa znalazła się w okrążeniu i żołnierze zaczęli rzucać broń. Jeden z nich chorąży wyrwał się z okrążenia i zaczął biec w kierunku Brzozowa. Zaczęło do niego strzelać chyba ze 6 erkaemów. Gdy po przebiegnięciu kilkuset metrów w końcu go złapaliśmy, okazało się, że buty, płaszcz, czapka to wszystko miał postrzelane jak sito i żadna kula go nie drążyła nawet. Nie można nawet tego sobie wyobrazić, żeby człowiek miał takie szczęście.

Od wojska to nawet karabinów nie zabieraliśmy, bo mieliśmy lepsze. Jedynie erkaemy zebraлиśmy no i jak który miał lepszy płaszcz to zaraz handel szedł - oddawaliśmy

im nasze gorsze, zużyte już.

27 kwietnia 1946 r. Całą noc byliśmy w Łapach. Mie-
liśmy tam do wykonania zadania specjalne, bo tam zaczął
się robić mętlik.- wydawano naszych ludzi, aresztowania.
Więc wtargnęliśmy do miasta i sporo komunistów, czy po-
prostu zbyt gadatliwych dostało trochę pytów na tyłek.
Ja starałem się ^w ~~na~~ takich robotach nie brać udziału, bo
nie lubiłem tego, tak, że zawsze stałem z tyłu, żeby mnie
nikt nie widział. Poza tym, nie mogłem przecież za dużo
tam się pokazywać, bo ludzie mnie znali.

Po wykonaniu zadania, koło trzeciej nad ranem wycofa-
liśmy się. Gdy przechodziliśmy przez tory na Osse-Bagno,
to już było widno. Wtedy, jak przechodziliśmy te tory, to
"Huzar" robił zdjęcie całego oddziału. W Ossach była
wtedy większość oddziału i czekali na nasz powrót z Łap.
Dochodziliśmy właśnie do skrzyżowania we wsi, a szliśmy
jak ~~z~~ ^z marszem ubezpieczonym, czyli: dwóch szperaczy,
za nimi erksamista z dwoma pomocnikami i reszta oddziału
w szeregu co 5 metrów po obu stronach drogi, gdy zobaczy-
liśmy, że w odległości jakiegoś 100-150 metrów od nas stoi
erksam i dwóch żołnierzy. Gdy podeszliśmy bliżej poznalis-
my, że to nie nasi. Zobaczyliśmy też, że kilka stojących
z brzegu chałup jest już obstawionych przez UB, które
tam buszuje, a przed domami stoją samochody. Wycofać się
już nie mogliśmy, bo było za późno. Gdyby zorientowali
się, mogli by nam zadać duże straty. Idziemy więc do
przodu i liczymy na to, że nie poznają nas. bo my prze-
cież też mieliśmy polskie mundury. Było nas wtedy około
20-tu. A nasza zasadnicza grupa czekała na nas w drugiej

części wsi. Wiedzieli już o tym, że w drugiej jej końcu buszuje UB. Ogłosili alarm ^{ale} i czekali na nas, bo wiedzieli, że mamy wrócić z Łap.

Gdy szliśmy środkiem wsi "Huzar" mówi do mnie szeptem: "Kropka" odsuń się ode mnie na 5 metrów, żeby nas nie skośli razem". Odwróciłem się zaraz i mówię do najbliższego chłopaka: "Zwiększyć odstęp. Udać pijanych". W końcu podeszliśmy do tego erkaemistym i ~~pytamy~~ "Huzar" pyta się go: "Skąd jesteście?". - "Z Wysokiego Mazowiecka" - padła odpowiedź. "A ha. Bo my z Białegostoku. Po co żeście tu przyjechali?". - "A, bo mamy tu paru bandziorów zabrać". "A ha. No to my wam pomożemy" powiedział "Huzar" i dodał: "Przerwać akcję. Teraz my wkraczamy".

A nasze chłopaki w tym czasie już pozajmowali odpowiednie stanowiska. Uszliśmy ubekom poddać się. Gdy tylko który chciał podnieść broń zaraz dostawał serię pod nogi. Wszystkich mieliśmy na muszkach naszych karabinów. Było ich z 13-tu. Zabraliśmy im amunicję i erkaemy. Karbiny zostawiliśmy. Nie były nam potrzebne.

Było tam 2-chubowców. Jeden z nich był naszym współpracownikiem. Dla niepoznaki dostał więc w tyłek. Porwaliliśmy na nim mundur. Natomiast, drugiego, Elsnera, zabraliśmy ze sobą, bo to był "dobry chłopak".

Po dołączeniu do nas pozostałej części oddziału, wycofaliśmy się ze wsi ~~na~~ w kierunku na las Osse. Przekroczyliśmy tory i uszliśmy może z 500 metrów, patrząc, a tu za nami gnają trzy samochody. Uszliśmy wtedy rozrzućeni w tyralierę. Zajęliśmy więc stanowiska i daliśmy im porządnego ognia. Wtedy oni wyskoczyli z samochodów, i ruszy-

części wsi. Wiedzieli już o tym, że w drugim jej końcu buszuje UB, ogłosili więc alarm ale czekali na nas, bo wiedzieli, że my mamy wrócić z lasu.

Zbliżyliśmy się do tego erkaemu. Patrząc jakiś buc przy nim leży. "Huzar" mówi do mnie szeptem: "Kropka" odsuń się ode mnie na 5 metrów, żeby nas nie skosił razem". Odsunąłem się, i odwróciłem się i mówię do kolejnego chłopaka: "Zwiększyć odstęp, udawać pijanych". Podeszliśmy do tego erkaemisty i "Huzar" pyta się: "Skąd wy jesteście?". "Z Wysokiego Mazowiecka". - "A ha. Bo my jesteśmy z Białegostoku". Po co żecie tu przyjechali?". - "A, bo mamy tu paru bandziorów zebrać". "A ha. No to my wam pomożemy. Przerwać akcję. Teraz my wkraczamy". Nasze chłopaki w tym czasie już zajmowali stanowiska i każdego ubeka mieli na muszce. Zaraz ich wszystkich rozbroiliśmy. Gdy tylko który próbował podnieść broń zaraz dostawał serię pod nogi: "Nie rusz". Było ich z 18-tu. Zabraliśmy im amunicję i erkaemy a karabiny zostawiliśmy. Nie były nam potrzebne. Było tam 2-ch ubowców. Jeden, nasz współpracownik, dla potrzebne. niepoznaki dostał w tyłek, nie za mocno oczywiście, porwaliśmy na nim ubranie a drugiego, Tlsnera, zabraliśmy ~~z niego broń i pieniądze~~ do nas drugiej grupy, pozostałej części oddziału, ze sobą, bo był "dobry chłopak". wycofaliśmy się ze wsi w kierunku na las Osse. Przeszliśmy przez torę, potem jeszcze jakieś 500 metrów a za nami ~~przejeżdżały~~, patrzymy, gnają trzy samochody. Myślimy wtedy szli rozrzuceni w tyralierę. Zajęliśmy pozycje. Oni wtedy wyskoczyli z samochodów, rozsypali się w tyralierę i daliśmy im ognia. Porządnie ich ostrzelaliśmy, żeby przeszedli i szli na nas na ~~nas~~ za im chęć do ganienia się za nami i samochody zwróciły.

li na nas tyralierą, na "Ura". Jak daliśmy im ognia, to zaraz zalegli i zaczęli wycofywać się. Na koniec ostrzelaliśmy ich jeszcze porządnie. Oni już słabo odpowiadali nam. Załadowali się na samochody i odjechali.

14 maja 1946 r. w nocy weszliśmy do wsi Rzepki i niespodziewanie natknęliśmy się na UB. Postrzelaliśmy się. Wystrzelali parę rakiet ale my zaraz wycofaliśmy się. Jak wynika z aktu oskarżenia jeden z ich żołnierzy zginął.

7 kwietnia wraz z kilkoma członkami w oddziale zlikwidowałem szpicla w Wysokiem Mazowiecku - Henryka Biesiadę. Było nas 6-ciu. Dowódcą był "Huzar". Byłem wtedy na obławie. Zaszliśmy do niego wieczorem. To było miasto ubowców i mimo tego zaszliśmy i zrobiliśmy swoje.

W kwietniu 1947 r., gdy staliśmy w wojnach przejechał do nas komendant obwodu "Witold" i powiedział, że sytuacja jest bardzo niekorzystna i nie ma sensu dalsze przelewanie krwi. Obie strony poszły na ustępstwa i teraz będzie ujawnienie. Kto chce niech się ujawni, może pozostać w oddziale, ja natomiast ujawniam się". "Huzar" powiedział, że się zastanowi. Jeszcze zobacz.

Ja, z kilkoma kolegami, pojechalismy do Warszawy i 8 kwietnia 1947 r. ujawnilismy się tam na UB. W Wysokiem Mazowiecku nie mogłem tego robić, bo mnie za bardzo chcieli dostać.

W czasie naszej działalności często spotykaliśmy się z innymi oddziałami, czy dowódcami, z AK i NSZ. Któregoś dnia na przykład spotkaliśy płk. "Błękitą". Był w cywilnym ubraniu. "Huzar" znał go już wcześniej. Porozmawiał z nim trochę i rozstali się. Wtedy "Huzar" pyta się mnie: "Wiesz

kto to był?". - "Nie". - "Pułkownik Błękit", komendant okręgu NSZ" - powiedział "Huzar". A z jego synem "Nocą" to siedzieli~~em~~ w jednej celi. Opowiadał jak to na niego czeka w Warszawie dziewczyna, że jest mu wierna. No, rozmawialiśmy jak to młode chłopaki zwykle rozmawiają. Pobijane ale wesołe. No dostał mocno w kość. Nogę to miał sztywną, bo był w nią ranny. wzięli go w powiecie Ostrow Mazowiecki. Opowiadał, że nie miał wyjścia. Gdy go otoczyli, to spał na strychu, na słomie. Nawet nie mógł sięgnąć po broń, bo go wspany człowiek z oddziału obezwładnił. "wzięli mnie jak barana" - mówił. Dostał dożywkę. Jego dziewczyna widywała się z nim jak się ukrywał. Często mówił do niej żeby go rzuciła, "bo ja - mówił do niej - jestem już dzie- dem. Noga sztywna, ukrywam się". I tylko tej dziewczyny żałował, bo bardzo ją kochał. Ona zresztą proponowała mu wyjazd za granicę. Mogła mu załatwić przerzut. Ale nie zgodził się. Powiedział: "Mój ojciec jest tutaj i ja tu muszę zostać. Tu jest Polska".

Spotykaliśmy się także z "Cyganem" - Jankiem Skowron-
Oboj z tym Kociem "Ciemnym" byli kaci, awanturami. Był dezertorem z wojska.
skim czy "Ciemnym" - Tadekiem Markiewiczem z NZW. Tadek to był mój kolega z ławy szkolnej. Był taki "wicher" z WiN-u, którego UB zastrzeliło w Szepietowie. Działek nad Bugiem. W 1945 r. w lesie na Bylinach mieliśmy spotkanie z oddziałem "Lupaszki". To był duży oddział. "Młota" znałem. Oddział "Dziadka" działek koło Łep. Dowódcą to ^{stary} był wachmistrz kawalerii 42 pp z Białegostoku. Rozwiązał swój oddział ze względu na swój wiek. Był już za stary do partyzantki. Przy sobie miał zwykle 3-4 ludzi, a na akcję to wzywał jak było trzeba. To był batalionowy kedyw.

"Dziadek", "Badył", "Rybak" i może jeszcze ktoś inny brali razem z nami udział w naszej zasadzce na UB pod Płonką, co to naszych, aresztowanych przez UB, członków mieliśmy uwolnić. "Rybak", po rozwiązaniu oddziału, przeszedł do nas, "Badyła" UB zastrzeliło a "Dziadek" zmarł. Nie wspomniłem jeszcze o tym, że byłem na akcjach w Fie-
kuciech i w Szulborze-Roty. Rozbroiliśmy tam posterunki milicji. W Szulborze to chyba jednego ubeka załatwiliśmy.

"Rybak" to zginął w ten sposób. Jakiś czas przed ujawnieniem w 1947 r. zaczęły docierać do nas wieści, że będziemy się ujawnić. A "Rybak" to był bardzo bojowy chłopak i powiedział do komendanta: "Idę nawiązać kontakt z oddziałem "Lufy". On wyprawi różne fajne rzeczy". Wziął swoje rzeczy i poszedł do Nagórek. Tam miał swoją dziewczynę - Gienię. Ale nie doszedł do niej. "Huzar" i "Grek" pojechali za nim i na skraju wsi zastrzelili go. Komendant uznał go za dezertera.

Był też w oddziale taki "Wir" - z Wileńszczyzny. Fajny chłopaczek. Był w sekcji "pancernej". Tak się ona nazywała, bo miała cztery erksemy. Zwykle sekcja miała dwa erksemy. I z czasem "Wir" stał się ulubieńcem "Huzara". Komendant, gdy wyjeżdżał na jakieś spotkanie, czy rozmowy, to zawsze zabierał go ze sobą. Ale "Wir" lubił wypić. A jak wypił, to dopiero mu się język rozwiązywał. Na jednym z takich spotkań chyba sobie wypił i bluznął "Huzarowi". A picie było u nas surowo zabronione. A tu na dodatek jeszcze takie zachowanie. Wyjechali razem w pole i "Huzar" strzelił mu w głowę. W oddziale nic o tym nie wiedzieliśmy. Do wioski pojechało trzech a wrócili tylko "Huzar"

szuk. Mierzył do mnie z pistoletu. Celował, celował i mówi: "No stój skurwysynu, bo cię zaraz zastrzelę". - "No to strzelaj - powiedziałem a ten buch mnie w twarz: "No ja ci teraz skórwysynu pokażę. Zaraz ty się do wszystkiego przyznasz". - Woła dwóch osiłków, otwiera szufladę i ~~mię~~ pyta się: "Popatrz, czym chcesz dostać", a w szufladzie leży gruba pyta, cienka, lacha. ^{jest} a nie ^{moj} powie - ja jedno głupstwo w życiu zrobiłem~~em~~.^{żem} ~~xxxix~~ "ze się ujawniłem". - "Dlaczego" - pyta się ubek. "Bo bym was zapierdolił jeszcze tutaj. Trzeba było do mnie podejść jak ja byłem taki sam jak wy, gdy miałem bron w ręku. Wtedy trzeba było mnie ruszyć. Jak koty uciekaliście. Myśmy ganieli was nawet pod ziemią.". Wojcieszuk wściekł się: "No skurwysynu już ja się posterem zakatwić cię" - "Gównu ty mi zrobisz" - powiedziałem mu prosto w oczy. Oczywiście wzięli się za mnie ostro. Jeden podszedł do mnie z tyłu, wykręcił mi ręce, drugi podciął nogi, poleciałem na ziemię. Wzięli lachę i zaczęli tłuc. jak bydlaka. A Wojcieszuk krążył wokoło i to kopnie, to powie: "Daj ja mu jeszcze przywalę". To do celi wlekli mnie nieprzytomnego. Poleli tylko wodą i wszystko. Wiele razy tak było. To był dobry łobuz. Podobno już nie żyje.

Był też taki Gawryluk. Pochodził spod Sokółki. Nazywali go "dentysta", bo do którego się dotknął to wybijał zęby albo szczęki. Też mnie przeskuⁿciwał. Najczęściej bił mnie w żołądek. To chłopaki, gdy zaczęli ich wypuszczać w 52, 53 czy 54 roku dostali go w swoje ręce i powiesili w lesie pod Sokółką. Jak mnie wzięli po śledztwie na ogólną celę to ile tam kelek przez niego było. To krzyż

i "Grek". Patrzymy, że "Wira" nie ma więc powoli dopytujemy się co się stało. "Buzar" powiedział wtedy, że: "Został zastrzelony bo za dużo pyskował".

^o ~~Marek~~ ^{koleżanka} ~~jej żony~~ ~~siostra~~ była dziewczyną 'Cygana'. Poznała go chyba na jakiejś zabawie. Musiał być wtedy w cywilu. I ona nic nie wiedziała o tym, że on jest z lasu. Jak jej już powiedzieli, gdy się dowiedziała, to od razu rzuciła wszystko i wyjechała. Początkowo do Niedzicy, później gdzie indziej. Zeby jak najdalej.

Opowiada żona Dzielnika: "Jednego wieczoru przechodzili w kilku przez naszą wieś. Janek został się i zaszedł do mnie i niemal ^{Przez chwilę} ~~sia~~ wyciągnął mnie na podwórze. Mama zaczęła krzyczeć, ale uspokoiłam ją. "Cicho, ja zaraz wrócę". Podeszłam z nim kilkanaście metrów. Chciał koniecznie uzyskać adres ^{mojej} siostry. "Słuchaj Janek. W tej chwili ja ci nic nie powiem, bo zapomniałam nawet jak się ona nazywa, boś mnie tak zdenerwował". Pamiętam, że z za pazuchy wystawały mu lampki nagrobkowe. Tyle ich miał, że nie mieściły się. Pewnie obrabował jakąś spółdzielnię. Gdy sięgnął ręką pod szyję i zaczął coś poprawiać, usłyszałam jak coś brzęczy. "Co ty masz tam jakąś grzechotkę?". "Chcesz jedną" - wyciągnął ~~kam~~ świeczkę. "Coś ty. Jeszcze żyję. Jeszcze mnie nie zabili". "Wracam się do domu, bo moja mama umrze ze strachu i ja umieram". Wracam się bo i tak nic ci nie powiem. Jak przypomnę sobie ten adres to zapiszę i wtedy ci powiem". I tak się rozstaliśmy. To był przystojny, piękny chłopak.

^z
W Rawiczu to było ciężko. Najmniejsze wykroczenie zaraz karcer. Na ~~z~~ spacerze wystarczyło odwrócić głowę - 24 go-

dziny karcza, powiesz słowo - 48 godzin. Trzy dni przed wyjazdem z ~~XXXXXX~~ Rawicza do Warszawy zatrudnili mnie w kotłowni. Ale to tylko trzy dni. Zaraz kazali się pakować z więźniów pochodzących z różnych więzień sformowali konwój i powieźli nas do Warszawy, na Mokotów. Przyjechało nas ze 40-tu. Sami wyrokowcy. Najmniejszy wyrok - 12 lat a tak to 15 i dożywotki. Był wtedy ze mną Janek Roszko, który chodził na terenie grajewskiego z "Gołębiem".

W Warszawie byłem dwa lata. Wzięli nas jako siłę roboczą. Instalowaliśmy tam ubikacje i umywalki w celach, bo do tej pory nie było tego. W Rawiczu tego nie było. Tak że tu nie było tak ciężko. Nasz warsztat był koło kotłowni i kuchni. To już było inne życie. Tu już człowiek trochę się podreperował. Ci z kotłowni zrobili nam wredny kawał. Usmażyli kota i powiedzieli, że to królik. Dali tylko kawałeczek, bo to przecież rarytas. Janek Roszko też spróbował. A potem, ci z kotłowni zaczęli miłoczeć. No to mało mnie nie skręciło z młodości.

W Rawiczu to jedzenie wyglądało następująco: rano kubek kawy i 400 gram chleba na cały dzień. Na obiad o godzinie 3-ej czy 4-tej ~~mięsa~~ talerz zupy ze ~~g~~ zgniłych bureków czy takiej samej kapusty i na kolację znowu kawa. Zupa to zawsze była gorąca jak wrzątek. Czasami to tak śmierdziała, że nos trzeba było sobie zatykać i łyżką wpychać.

Wyszedłem na wolność w 1955 r. To ja nie wierzyłem, że to prawda, bo dwa dni wcześniej pobikem się z jednym kryminalistą w kotłowni i to tak, że gdyby nas nie rozdzielili, to chyba bym go zabił. Chodziło o to, że ja

co miesiąc dostawałem pieniądze i na wypiskę zawsze mi wystarczało. Z tej wypiski zawsze coś mu podrzucałem, temu złodziejowi. Nie ~~nik~~ dostawał nigdy żadnych paczek, to żał mi go było. Zona go puściła, żył z jakąś kochanicą. No i tego dnia coś spawałem. Obok mnie stała więc butla z tlenem. A on, jako starszy funkcją ode mnie, bo ja byłem zwykłym więźniem, przyszedł do mnie i chce mi zabrać tą butlę, bo też robił w innym miejscu i była mu potrzebna. "Ty mnie nie rusz tej butli - mówię do niego - bo ja chcę ten grzejnik skonczyć". "Zabiorę ją. Co ty mnie tu zreszta tą będziesz tu rządził". "No to za to, że ja cię karmię i że ci pomagam to ty do mnie z taką mordą. A co ty za waźniak. Łobuzie, złodzieju" - podniosłem głos. Momentalnie zdenerwowałem się. Złodziej chciał mnie uderzyć, zrobiłem unik i jemu przyłożyłem. Zachwiał się, więc przyłożyłem mu znowu i jeszcze raz i raz. Jak przyperłem go do ściany to nawet mnie nie dotknął. Gdy mnie od niego oderwali przypatrzyłem się mu. Oczy miał ponabijane, twarz rozkwaszona. Nic tylko potwór. No trudno. Stało się. "No chłopaki, ja już chyba pójdę na dołek" - mówię do kolegów. Na każdym oddziale był tzw. "Spec" czyli więzienne UB. Oni prowadzili wywiad i wszystko co się działo to trafiało do nich. Czekalem więc kiedy "spec" się dowie. Ale minęły dwa dni i nic. Cisza. A my w tym czasie skończyliśmy remont tego więzienia na Mokotowie. Naczelnik powiedział nam: W nagrodę, za to, żeście robotę dobrze zrobili, ja dla was zrobię wolnościowy obiad! I rzeczywiście. Zgromadził nas, chyba ze 60-ciu - sami wyrokowcy - na stołówce i kobiety roznoszą już ten obiad. To wtedy pierwszy raz

w więzieniu drugie danie jadłem. Ziemniaki. Sałatka i porcja mięsa z sosem. Zupa też była wolnościowa. To każdy wielkie oczy zrobił, że jednak naczelnik słowny jest. W tym czasie z wydziału "spec" przyszedł porucznik i pyta się gdzie jest więzień Dzielnik. To było obok mnie więc wstałem i mówię: "Skazany na lat 12 z artykułu takiego i takiego melduje się". "Spec" popatrzył i wyszedł. No to mówię do chłopaków: "Zaraz będzie łyżka, miska, koc i na dołek". No ale jemy obiad. Muzyka nam przygrywa. Człowiek normalnie zgłupiał z tego wszystkiego. Po jakichś 15-tu minutach przychodzi naczelnik więzienia i pyta się: "który to jest ^{obywatel} ~~więzień~~ Dzielnik". Obywatel nie więzień. Wstaję zupełnie zaskoczony, nie wiem co się dzieje a w środku wszystko we mnie chodzi. A naczelnik mówi tak: "Daję panu oficierskie słowo honoru, że od tej pory jest pan wolnościowym człowiekiem". Walnęło mnie zdrowo, ale przyzwyczajony do kawałów z ich strony mówię: "Panie naczelniku. Ja już siedzę 6-ty rok i proszę ze mną jak z dzieckiem się nie bawić", bo mogę nerwowo nie wytrzymać". A on mi jeszcze raz mówi przy wszystkich: "Obywatelu Dzielnik, daję wam słowo honoru, że od tej chwili jesteście człowiekiem wolnościowym". "Panie naczelniku, przecież ja mam przed sobą jeszcze tyle lat?". - "Już jesteście wolnościowy. Powiedźcie coś kolegom". No ja nie wiem, czy ja żyłem, czy nie żyłem, czy coś powiedziałem. Janek Roszko mówi do mnie: "Patrz Jurek, coś w tym jest. Teraz jest dużo zwolnień z więzienia. Może i tyś tak trafił. I to nie z sądów wojewódzkich ale z Sądu Najwyższego". Już mnie biorą to mówię do Janka chodź oddam ci swoje

rzeczy. Ty zostajesz to ci się przyda! Oddałem mu wtedy papierosy, skarpety, już koszulę można było mieć.

Przedtem jeszcze wezwali mnie do administracji i przeczytali mi dokument, który mówił, że "Sąd Najwyższy po rozpatrzeniu mojej sprawy zastosował amnestię ~~na~~ z 1947 r. całkowicie w stosunku do tych wszystkich artykułów, z których byłem oskarżony oraz dali mi dwa nowe artykuły, za które wyrok brzmiał 5 lat" - a ja już siedziałem 5 lat i 7 miesięcy. Wtedy zaprowadzili mnie ^z powrotem do celi, tam powiedzieli mi, że te nowe artykuły to za spółdzielnię w Kosowie Mackim i wypuscili mnie.

stanałem na Rakowieckiej i myślę tak sobie, że oni, o czym słyszałem w więzieniu, często lubią robić takie kawały, że wypuszczą człowieka na wolność a pod więzieniem stoi już samochód, dwóch panów bierze pod rące i w taksówkę i sprawę ponawiają. Niedaleko była pętla tramwajowa. Właśnie tramwaj pojawił się więc ja biegiem do niego, nie pytam się co to za linia i gdzie jedzie tylko wsiedam i byle dalej z tego miejsca.

Rozglądam się, ale nie widzę wokół siebie agentów więc pytam się kobiety: "Proszę pani, jak tu dojechać ~~na~~ Dworzec Wileński". Powiedziała mi. Przesiadłem się na drugiej tramwaj i znalazłem się na dworcu. Zobaczyłem o której mam pociąg i czekam. A ludzie takiego człowieka to zaraz poznają. Pyta się mnie więc jedna kobieta: "Ile pan siedzi~~ł~~ dzieł? Gdzie pan siedział? Wyszedł pan już to pan szczęśliwy"~~axxxx~~ Druga dodaje: "A mój jeszcze siedzi". Ludzie współczuli jednym słowem

Przyjechałem do domu a matka mówi: "Ty żeś chyba uciekł!"

Zaraz po mnie wyszli m.in.: Dziemianowicz, Wojno Tadek. Kolejno zaczęli zwalniać. Ale to nie był koniec. Bo teraz zaczęły się dopiero kłopoty. Gdzie nie pójdę, nie ma pracy. ^{a jak jest} Nie przyjmą, bo karany politycznie. Do żadnej szkoły też nie mogę iść na naukę bo bandyta, bandyta, bandyta. Nawet brygadzystą nie mogłem być. Pracuję ~~w~~ na budowie z pijakami. Nie chcę z nimi pić. Mówię dajcie mi dwóch ludzi sam zrobię tę budowę. Sprawdzają mnie - karany za ~~swą~~ usiłowanie obalenia przemocą władzy ludowej - nie mogę być szefem. Rzucam tę robotę. Zaczepiłem się w drugiej firmie. Tam już byłem brygadzystą, ale nigdy nie dali mi ani premii ani nagrody. Dla innych było wszystko a dla mnie nic. I takie całe życie. Nigdy nic nie miałem prawa powiedzieć. I cały czas milicja interesowała się z kim się spotyka, co mówię. Gdy wyszedłem na wolność to z żoną i dwojgiem dzieci siedzieliśmy na kupie u matki i ojczyma. To było strasznie poniżające, żebym ja 28-letni mężczyzna nie mógł swojej rodzinie pomóc.

W 1980 roku zachorowałem na owrzodzenie żołądka i zwyrodnienie kręgosłupa. A do przejścia na emeryturę zabrakło mi ^{osiem} ~~dwadzieścia~~ i pół miesiąca. Trzeba było mieć wypracowanych 25 lat, a ja miałem 24 lata, 3 miesiące i 14 dni. Więc zacząłem starać się o uznanie mi dwóch lat pracy, które przepracowałem w czasie okupacji niemieckiej na kolei w Łapach. Trzeba było, żeby poświadczyło mi to dwóch świadków. Znalazłem ich. To mi dranie doliczyli tylko do pełnych 25 lat te brakujące miesiące i reszty już nie uznali, bo jak napisali wcześniej nie starałem się o uznanie tych lat i teraz już jest za późno.

29 czerwca 1950 r.

Gdy aresztowali mnie do niczego nie przyznawałem się. ^{Dziemianowicze} Wtedy oni powiedzieli, że mają ~~xxxxxxx~~, ~~xx~~ który powiedział im, że razem byliśmy u "Huzara" i że był moim serdecznym kolegą. Ja mówię, że nie znam takiego, bo w oddziale wszyscy mieli pseudonimy, więc nie ~~znam~~ takiego. "No dobra, to na dziś koniec. Pod celę" - powiedział ubek. Przeszli mnie już wtedy bic. ~~xx~~ Następnego dnia, albo po dwóch dniach wzięli mnie na górę. Wprowadzają do pokoju. Patrzę, a tu już siedzą "Czarny" i "Raszyn" - Tadek Wojno. Popatrzyłem na nich i delikatnie pokręciłem głowę na znak, że ja ich nie znam, a "Czarny" mówi do mnie: "Jurek, co ty mnie nie poznajesz". No to kurwa mać jedziem teraz. "Raszyn" też przyznał, że mnie zna. Potem na sprawie Edek wszystko odwoływał. Sędzia pyta się go: "A czemu oskarżony zeznał tak na śledztwie", a teraz mówi co innego". "I sąd by się przyznał - mówi Edek - gdyby powiesili go za nogi na drzwiach i do nosa leli wodę. Ja się przyznałem do tego żeby cierpienie skrócić".

Po tej konfrontacji nie pytając mnie już o nic zabrali mnie do celi a tamci dwaj zostali się. Przez jakieś dwa dni miałem spokój. Potem wzięli mnie na górę i pyta się: "No jak, przyznajesz się czy nie? O - "Nie wiem o co wam chodzi" - mówię. "Ze byliście w bandzie "Huzarax". - "Byłem" - mówię. bo widzę, że już tu nic nie mogę zrobić. I wtedy zaczęli wypytywać się o całą moją działalność. Przyznawałem się nawet do tego, gdzie mnie nie było. To dopiero potem sąd wyprostował to wszystko. Śledztwo toczyło się przez 24 miesiące. Oczywiście jak tylko do czegoś nie chciałem się przyznać to zaraz leli. Taki Wojcie-

komus skręcił, to nogę, to rękę. Ja jakoś u niego miałem szczęście. Zawsze brał kilku do pomocy i leli mnie pałami. Jak nie chcieli, żeby były ślady to na plecy kładli mokrą szmatę i wtedy mogli walić ile wlezie, a śladów nie było.

Tłukli mnie też za pistolet. Za to, że nie zdałem go. Zieliński twierdził, że widział u mnie pistolet po ujawnieniu się. Ja do tego nie przyznawałem się. Powiedziałem że: jeżeli nawet go miałem to dajcie mi tu na oczy tego co go widział, ale oni nikogo nie przyprowadzili na konfrontację. A ja ~~dx~~ ~~xx~~ miałem go jeszcze jakiś miesiąc po ujawnieniu. Nosilem go za paskiem na plecach. Nie chciałem, żeby wzięli mnie jak barana. Potem zaniósłem go do Henryka Łapińskiego: "Masz go. W razie żeby był mi potrzebny, to żebym ja go zawsze mógł wziąć. Tylko patrzaj, żebyś w życiu mnie nie wydał, że masz go ode mnie". "Dobrze" - odparł Heniek. A on dał ją Perkowskiemu i razem zrobili jakiś napad na spółdzielnię. Taki nielegalny. UB ich złapało i oczywiście zapytali się: "Skąd macie broń". Potem ten Zieliński i Łapiński to bali się mnie jak ognia. Ile razy byłem w Łapach to uciekali z miasta. Łapiński dziś już nie żyje.

Jak przenieśli mnie na pojedynki, to przez okno dochodziły mnie cały czas jęki katowanych: "O jezu, o jezu", a to te rzeźniki tak ~~xxx~~ oprawiali ludzi.

We wrześniu 1952 roku odbyła się rozprawa. Bronił mnie adwokat Skoczek z Warszawy. Ponoć były skowiec. Dzień przed rozprawą przyszedł do mnie i mówi: "Panie Dzielnik, ja pana czuję już jedną nogą na wolności" - Panie, niech

pan ze mnie nie robi wariata. Głupia ta moja rodzina, że panu dała pieniądze". "Ja pana będę bronił i udowodnię, że mam rację. Wszystkie rzeczy na pan robione przed ujawnieniem. Ciężkie są to zarzuty, ale wszystkie je obejmuje amnestia". I na sprawie pytam się: "Proszę Wysokiego Sądu, ~~xxxxxxx~~ ^{ja} za co jestem sądzony, przecież ujawniłem się, potem podjąłem pracę a że ukrywałem się to dlatego, że poszukiwano mnie i w ten sposób broniłem się przed aresztowaniem". Wtedy major Płonka, przewodniczący sądu, powiedział: Sąd ma dodatkowe prawo i takich ludzi będzie sądził. "To dlaczego sąd pyta się mnie o akt oskarżenia, przecież mi go nawet nie dali przeczytać". No i dostałem 12 lat i konfiskatę mienia.

Z Białegostoku wywieźli mnie do Rawicza. Białystok to względem niego było przedszkole. Siedziałem na przykład w celi jakieś 2 metry na 2. Było nas dwóch albo trzech. Łóżek nie ma, tylko sienniki na goły beton. Na dzień sienniki te musiały być złożone w taką kostkę, żeby wyglądały jakby były wyprasowane żelazkiem. Gdy na przykład więzień zauważył, że przez judasza patrzy oddziałowy, to natychmiast musiał iść pod okno, stanąć plecami do drzwi i ręce założyć z tyłu. Gdy więzień nie zauważy, że ktoś patrzy przez judasza, co przecież oni nawet papucie nskładali, żeby nie było ich słychać, wtedy oddziałowy nic nie mówiąc całą celę zapisywał na 24 godziny do karcza. A tam chloru nasypią, karc był wilgotny, i jak przychodziło się do celi to oczy były jak banki napuchnięte. Karcer to była cela metr na metr. Ciemna. Z góry woda kapie. Spać można było tylko na półce z desek. Zimno, bo ubranie też zabierał

li i było się tam tylko w samej bieliźnie.

Jak nas wiezli z Bialegostoku do Rawicza to zapakowali do specjalnych więźniarek. Środkiem takiej więźniarki biegł mały korytarz a po obu jego stronach były małe klatki, tak małe, że nie można było nawet usiąść. Całą drogę trzeba było stać. Łącznie takich klatek było 20-cia. Mój transport liczył wtedy 40-tu ludzi.

Przywieźli nas w końcu. Gdy zamknęli za nami pierwszą bramę już między drugą a trzecią stał szpaler strażników i czym kto miał w ręku: klucze, pałki, kawałki drzewa leli nas gdzie popadło. Droga była obstawiona na długości 50 metrów po obu stronach. Każdy musiał dostać. Potem poprowadzili nas na biały pawilon do piwnicy i tam znów na nas czekali. Tam to już ile który mógł i chciał to się nad nami znęcał. Porozrzucali nas do cel. Każdy był pobity. Tu guz, tu zakrwawiony, tu nos krzywy, inny krzyczy: O Jezu, żebro. Jak popatrzyłem ile dziennie ze szpitala trupów wywozili to aż strach brać.

białego pawilonu

Komendantem był Kukawka. Potem ~~był~~ okazało się, że był szulcmanem i dostał 15 lat. To był potężny skurwysyn. Wygląd miał Niemca. On to dał się ludziom we znaki. Brał więźnia do swojego pokoju i lał go albo mu drugie śledztwo prowadził: "Ty skurwysynu - mówik - tam żeś się nie chciał przyznać, to tu się teraz przyznasz". Ja jakos miałem szczęście i nie podpadłem mu ale z mojej celi Stefan spod łolna to tak był przez niego zbity, że aż strach było patrzeć.

Spisał Jerzy Kutak 